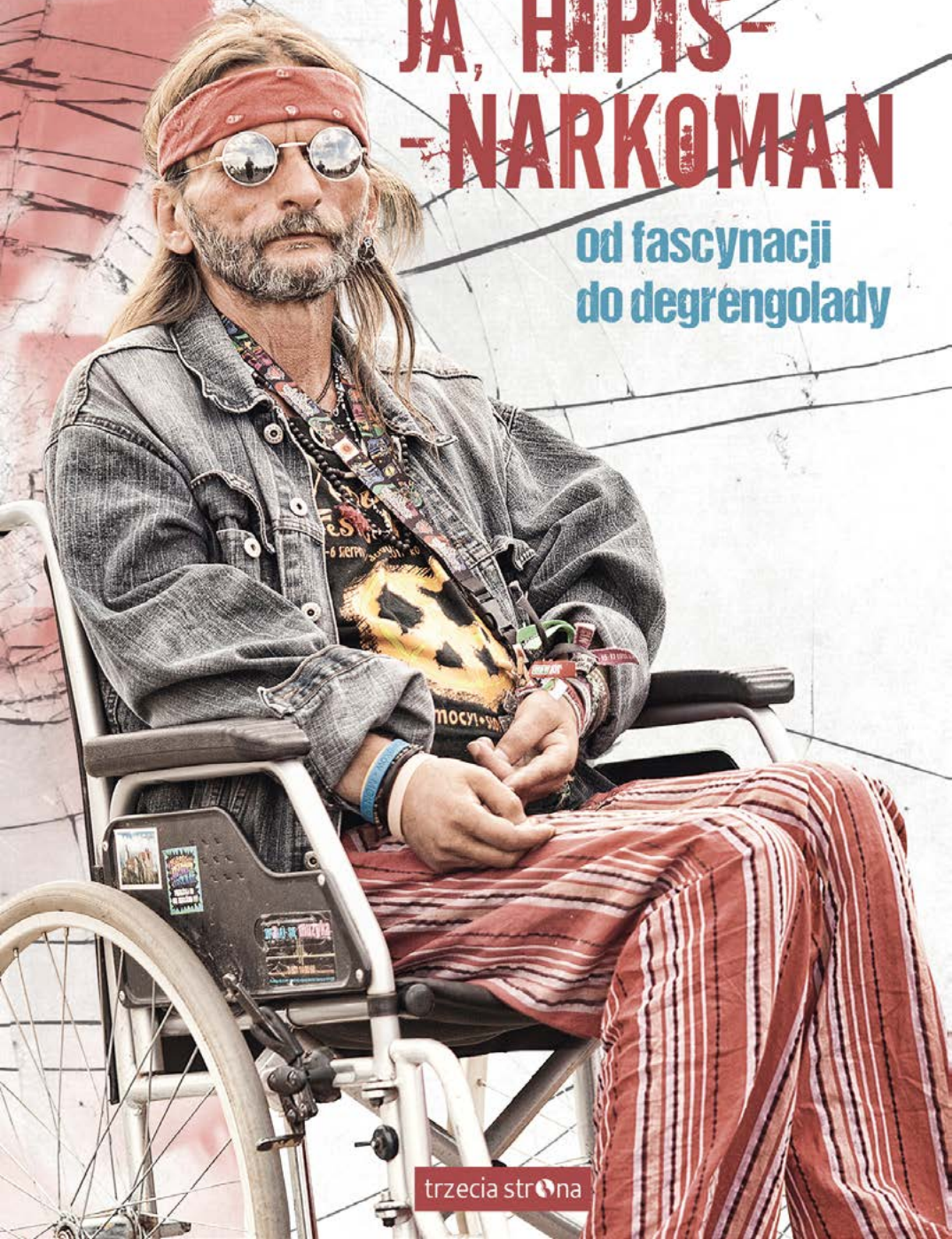


ANDRZEJ KACZKOWSKI
BOLESŁAW TRACZEWSKI

JA, HIPIS- -NARKOMAN

od fascynacji
do degrengolady



**JA, HIPIS-
-NARKOMAN**

ANDRZEJ KACZKOWSKI
BOLESŁAW TRACZEWSKI

JA, HIPIS- -NARKOMAN

**od fascynacji
do degrengolady**

© Copyright by Andrzej Kaczkowski i Bolesław Traczewski, 2015

© Copyright by Trzecia Strona, 2015

Żadna część ani całość niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, ani przetwarzana w sposób elektroniczny, mechaniczny, fotograficzny i inny nie może być użyta do innej publikacji oraz przechowywana w jakiegokolwiek bazie danych bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydawnictwo Trzecia Strona dołożyło wszelkich starań, aby uszanować prawa autorskie twórców ilustracji zawartych w niniejszej publikacji. Autorów do których nie udało nam się dotrzeć, prosimy o kontakt z Wydawnictwem.

Trzecia Strona

03–978 Warszawa, ul. Ateńska 6/93

www.trzeciastrona.pl

e-mail: wydawnictwo@trzeciastrona.pl

Autor tekstu: Andrzej Kaczkowski

Współpraca: Bolesław Traczewski

Redakcja tekstu: Andrzej Kaczkowski, Jarosław Talacha

Korekta tekstu: Paulina Joanna Kaczmarek

Projekt okładki: Jarosław Talacha

Skład i łamanie: Sylwia Arszennik

Zdjęcie na okładce: front – Leck Przemysław Krawczyk, tył – Artur Rawicz/mfk.com.pl

Zdjęcia wewnątrz książki: archiwum Andrzeja Kaczkowskiego

ISBN: 978-83-64526-27-5

Wydanie I.

*Książkę dedykuję Bogusi Bączkowskiej,
która w 2000 roku, gdy kończyłem leczenie
w ośrodku Monaru w Nowolipsku,
zobligowała mnie do jej napisania.*



反

Pomysł na napisanie tej książki zrodził się we mnie trzynastcie lat po zakończeniu leczenia w ośrodku Monaru w Nowolipsku.

Od roku 1978 do 1998 byłem czynnym narkomanem, który metodycznie rujnował swój potencjał, zdolności i, krótko mówiąc, całe swoje życie.

Na początku nie czułem, że te poszukiwania wolności i oryginalności idą w złym kierunku. Byłem szczerze zafascynowany ideologią hipisowską, której nieodłącznym atrybutem były narkotyki, mające jakoby poszerzać percepcję i świadomość. Ideologia wolności, miłości i pokoju była na początku ważniejsza niż samo ćpanie. Zostałem rasowym hipisem: wyglądałem jak hipis, żyłem jak hipis i jak hipis kochałem wszystkie żywe istoty na tym świecie. I myślę, że dzięki temu nigdy nie zeszmaciłem się do końca.

Dzięki narkotekom udało mi się odkryć pewne aspekty życia, do których zapewne na trzeźwo nie miałbym dostępu, lecz z biegiem czasu te eksperymenty przerodziły się w nałóg. Świat na trzeźwo zaczął wydawać mi się nie do zaakceptowania i nie do zniesienia. Dlatego też zabrnąłem w nałogu do prawie całkowitego fizycznego wyniszczenia organizmu. Utraciłem żonę i dzieci, które bardzo kochałem. Materialnie zaś straciłem praktycznie wszystko. Kilkanaście razy moje życie wisiało na włosku z powodu przedawkowania narkotyków, ale przeżyłem. Doszedłem więc do wniosku, że dobry Bóg, czymkolwiek on się nam wydaje, ma wobec mnie jakiś plan. Być może właśnie ta książka jest efektem Jego woli. Pragnąłbym, aby dzięki tej historii

choć jeden człowiek opamiętał się zawczasu, zanim sięgnie pierwszy raz po narkotyki. Byłoby to dla mnie największą korzyścią, gdyż jak mówi Talmud: „Kto ratuje jedno życie, jakby cały świat ratował”.

Nie miałem zamiaru ani epatować złem, ani szokować opisami pewnych epizodów z życia czynnego narkomana. Ale też nie chciałem w żaden sposób ugrzecznic tekstu. Jest tu zawarty prawdziwy obraz polskiej narkomanii tamtych lat. W żadnym wypadku nie jest moją intencją robienie dobrej prasy narkotykom. Jednakże musiałem dokładnie opisać stany, w jakich się znajdowałem po przyćpaniu, bo dopiero takie doświadczenie pozwoliło mi skonstatować, że rzeczywistość przeżywana na trzeźwo góruje zdecydowanie nad jakimikolwiek narkotycznymi fantasmagoriami.

Książka ma strukturę dziennika, chociaż realnie powstała między sierpniem 2012 a lipcem 2014 roku. Wszystkie opisywane zdarzenia są autentyczne i zostały odtworzone z pamięci. Niektóre fakty udało mi się przywołać błyskawicznie, nad innymi musiałem bardzo długo myśleć. Zapewne wiele wydarzeń ominąłem z powodu zawodnej pamięci. Inne przypomniałem sobie już po napisaniu książki. W ustaleniu właściwej chronologii pomocne były mi pewne fakty historyczne stanowiące kanwę opowieści. Były to festiwale muzyczne, głównie Jarocin, oraz wydarzenia polityczne w Polsce – Solidarność, stan wojenny, wizyty Papieża etc.

Andrzej „Kaczor” Kaczowski

05.05.1978, piątek

Dzisiaj były moje 13 urodziny. Dlatego postanowiłem, że stanę się w pełni wolnym człowiekiem. Będę miał swój i tylko swój styl ubierania, myślenia i wszystkiego, co możliwe. Zamiast do szkoły poszedłem z kolegami na wargi. Było całkiem fajnie: wyjaraliśmy całą paczkę szlugów, wypiliśmy trzy wina w szczęściu, ale mimo wszystko brakowało nam czegoś. I oto na klatce schodowej jednego z bloków, gdzie obaliliśmy kolejnego sikacza, pojawił się starszy od nas o trzy lata koleś. Wszedł na klatkę bardzo chwiejnym krokiem, trzymając w ręce torebkę foliową z jakąś dziwną substancją na dnie.

– Cześć małolaty, co porabiacie? Kiracie wińsko? A może byście spróbowali czegoś innego?

– Czego na przykład? – zapytałem.

– A butaprenu!

– Hehehe! Butaprenem to ja kleję buty! – odparłem.

– A spróbowałeś go kiedyś wdychać z torebki foliowej?

– No nie.

– To spróbuj!

– No to dawaj!

Koleś przelał ze słoika do torebki foliowej sporą porcję butaprenu. Następnie pokazał, jak się „buzuje”. Muszę powiedzieć, że trochę się obawiałem. Ciekawość jednak zwyciężyła... Wziąłem głęboki oddech z tej torby. W tym momencie odleciałem, po prostu odleciałem. Świat zawirował mi, głosy dobiegały z oddali...

– Masz, weź jeszcze parę oddechów! – usłyszałem jego głos dobiegający jakby z dna studni.

Posłuchałem i zachnąłem się klejem jeszcze kilka razy. Odpłynąłem na dobre. Zdawało mi się, że jestem na Dzikim Zachodzie. Widziałem, jak przed moimi oczami przebiega stado bizonów, a Indianie na koniach polują na nie. Gdy się ocknąłem, koleś, który przytargał, klej zaproponował mi dolewkę. Nie myślałem wiele, tylko nadstawiłem foliówkę. W ten sposób pozostałem zanurzony w swoim filmie do momentu, aż nie wybuzowaliśmy całego litra kleju.

Wtedy ktoś rzucił propozycję, aby pójść do drogerii i dokupić jeszcze litr. Poszliśmy i zakupiliśmy nie litr, tylko trzy litry kleju i 30 torebek foliowych. Buzowaliśmy tak do późnego wieczora. Filmy przewijały się jak w kalejdoskopie, jak w dobrym kinie, z tą różnicą, że seanse były bardziej realistyczne, bo brałem w nich bezpośredni udział. Byłem jednocześnie aktorem i widzem tych przedstawień. Dopiero około godziny 22.00 zdecydowaliśmy, że na dzisiaj dość, ale umówiliśmy się na jutro.

06.05.1978, sobota

Wstałem o 9.00 i poszedłem na spotkanie z kolesiami, z którymi zachałem klej. Jednak po zakupieniu pięciu litrów budeksu, zamiast iść na klatkę, na której byliśmy wczoraj, zdecydowaliśmy, że pójdziemy nad rzekę, gdzie rosną gęste chaszczki. Tam się zamelinowaliśmy. To dopiero była jazda! Nikt nam nie przeszkadzał, nikt się nie kręcił tak, jak wczoraj. Wiatr poruszał zaroślami, co powodowało, że filmy były jeszcze bardziej niezwykle i realistyczne, a zarazem totalnie fantastyczne. Wkręcił mi się taki motyw: jestem w jednej z palestyńskich wiosek z Chrystusem, a on naucza tłumu. Jest tam też Maria, jego matka. Widzę Jezusa i bardzo dokładnie słyszę, co mówi. Głos ma wyrazisty i bardzo spokojny. Słysząc współczucie, mówi tak, jakby nikogo nie chciał do niczego przekonywać, a jedynie doradzić ludziom, jacy mogą być. Ci chłonęli każde jego słowo. Ja też czerpałem pełnymi garściami z jego nauki. Jezus mówił o miłości bliźniego, że należy kochać wszystkie stworzenia tego świata, że wszyscy jesteśmy dziećmi Boga, że należy szano-

wać przyrodę, że długie włosy są dobre, że należy myśleć samodzielnie i nie poddawać się żadnym autorytetom. Mówił, żebyśmy wyrzekli się pragnienia władzy, abyśmy rozwijali wartości duchowe, a nie tylko dbali o materialne dobra tego świata. Chrystus stał na wyciągnięcie ręki ode mnie, czułem jego oddech, widziałem jego uduchowione oczy o głębokiej, błękitnej barwie i jego rozwiane bardzo gęste, jasne włosy. Miał bardzo delikatne i gładkie dłonie. Czułem słodki zapach, jakiego nigdy wcześniej nie znałem... Był po prostu boski. Jezus stał na suchym i gorącym piasku pustyni. Ubrany był w powłóczyste, błękitne szaty z materiału w dobrym gatunku. Na czole miał przepaskę, na twarzy gęsty, niemalże czarny zarost, ale jego broda nie była zbyt długa. Była poszarpana, nieregularna i gdyby nie jego ubiór, można by go pomylić z menelem. Bił od niego wspaniały blask boskiej osoby. Pamiętam też, że Maria podeszła do mnie i podała mi wodę. Wypiłem ją i poczułem wszechogarniającą miłość i ciepło. Po kilku godzinach tej sielanki, nie wiadomo skąd, pojawiła się we wsi grupa starszych mężczyzn w powłóczystych, ale czarnych szatach, z obfitymi, długimi i niekiedy siwymi brodami. Ich przywódca podpierał się laską dorównującą jego wzrostowi. Laska była rzeźbiona i nabijana złotem. Przybysze stanęli w grupie i zaczęli zadawać Jezusowi różne pytania. Najpierw chcieli wiedzieć, czy to prawda, że ogłosił się Synem Bożym. Przywódca grupy miał poważny, nobliwy głos. Zadawał pytania głośno i wyraźnie. Ja, stojąc na wprost Chrystusa, słyszałem, że jego odpowiedzi były bardzo spokojne, pełne współczucia i miłości. Nic sobie nie robił z tego przesłuchania, na którym występował w roli oskarżonego. Narastał we mnie bunt przeciw tym ludziom! Chciałem ich pozabijać! Jednak gdy tylko pomyślałem o wyrządzeniu im krzywdy, Chrystus obrócił się do mnie i kładąc mi rękę na ramieniu, tym swoim spokojnym głosem powiedział: „Nie tędy droga. Nawet wrogów należy kochać... Należy z nimi rozmawiać, dyskutować, walczyć z nimi na argumenty, a nie na pięści, ani tym bardziej na noże.”

Nie wiem, ile trwała ta iluzja, ale obudziłem się, gdy już było ciemno i zimno. Z całej szóstki pozostał tylko Piotrek. Kiedy się ocknąłem, był usmarowany klejem, miał ubrudzone usta, posklejane włosy, koszulkę, spodnie, ręce i był nadal w klejowym amoku. Oczy miał błędne, niewidzące i patrzył gdzieś w dal. Dotarło do mnie, że wszystko, co przed

chwilą widziałem i przeżywałem, było tylko poklejąwą halucynacją. Zacząłem szarpać Piotrka za ramię, aby się otrząsnął i przebudził. Po chwili ocknął się i wtedy doznałem szoku, bo spytał mnie:

– Nie wiesz czasem Kaczor, co odpowiedział Jezus tym dziadom, co przyszli go przesłuchiwać, jak zapytali, czy jest synem Boga?

Niestety, nie znałem odpowiedzi na to pytanie, ale byłem totalnie zdziwiony, skąd Piotrek wie, jaka była moja wizja!!!

Zrobiło się bardzo późno i uznaliśmy, że na dziś już wystarczy i będziemy zbierać się do chaty. W domu matka czekała na mnie z awanturą, bo było już po północy i choć mam swój pokój z oddzielnym wejściem, to i tak dostałem niezły opierdol. Były krzyki, wyzywania i nawet ojciec, którego nie za bardzo interesowało moje wychowanie, bo najczęściej był pijany lub nieobecny w domu, wydarł się na mnie i zaczął mną poszarpywać. Matka zaprotestowała i skończyło się kłótnią między starymi.

15.06.1978, czwartek

Mieszkam w starej kamienicy pamiętającej przedwojenne czasy. Są w niej bardzo duże pokoje i dlatego parę lat temu całkiem niezłe radziliśmy sobie, mieszkając z babcią. Ale pewnego dnia babcia przeprowadziła się do wujka, który kupił mieszkanie w nowym budownictwie i przybył nam jeden pokój. A że jej wolą było, aby pokój po niej przypadł w udziale mnie, tak właśnie się stało.

Do mojego mieszkania prowadzą stare, skrzypiące, mocno już wytarte i gdzieniegdzie obluzowane, drewniane schody. Poręcze są równie stare, rzeźbione, i bardzo zniszczone, a na półpiętrach misternie rzeźbione barierki. Mieszkamy na ostatnim piętrze, do mieszkania wchodzi się przez ciemny, długi korytarz. Idąc na wprost, mijamy z lewej strony drzwi, za którymi mieszkają sąsiedzi. Dawniej była to tzw. służbówka w której mieszkała służba właściciela kamienicy. Z tego powodu drzwi te są małe i niepozorne. Dalej, po lewej stronie, są drzwi do głównego mieszkania. Tutaj mają kuchnię moi rodzice. Stąd wchodzi się do głównego pokoju rodziców, skąd było pierwotnie przejście do mojego pokoiku. Ja to przejście zamknąłem na stałe,

a we wnęce po drzwiach urządziłem sobie biblioteczkę. Nowe wejście do mojego pokoiku prowadzi obecnie wprost z korytarza, przez kibel osłonięty jedynie prowizoryczną zasłoną wiszącą na przewodzie elektrycznym. Korzysta z niego cała rodzina. Ma to tę zaletę, że kiedy jestem w swoim świecie, w pokoiku, zawsze słyszę odpowiednio wcześniej, gdy ktoś się zbliża. Tym bardziej, że w drzwiach mam zamek i mogę skutecznie się odgrodzić.

Właśnie tutaj, zamiast iść do szkoły, urządziliśmy sobie z kolegami imprezkę klejową. Zaczęła się ok. 9.00 rano. Przez mój pokój przewinęło się przez cały dzień jakieś 50 osób. Byli to ludzie w różnym wieku, chłopaki i dziewczyny, jedni przychodzili z klejem, inni z wódką, jeszcze inni przynieśli ze sobą mleczek makowy, które u mnie preparowali, aby otrzymać narkotyk do wstrzykiwania sobie w żyły. Jeszcze inni przychodzili, aby po prostu sobie pogadać, a co najdziwniejsze, większości z tych osób nie znam i nie wiem, skąd się dowiedzieli, że u mnie będzie imprezka. Ale nie narzekam, dawno sobie postanowiłem, że będę miał dom otwarty, gdzie każdy, kto chce, może wejść, pogadać sobie, przyćpać, pobyć i posłuchać muzyki.

Na starym „Bambino” słuchaliśmy muzyki z płyt: moich i przyniesionych przez gości. Odsłuchaliśmy chyba wszystko Doorsów, Zeppelinów, Stonesów, Uriah Heep, Janis Joplin i Hendrixa. Rozmawialiśmy o filozofii, o wolności jednostki, o naszych wizjach narkotycznych. Przed nami rozpościerał się nowy, wspaniały świat, który chcielibyśmy kiedyś stworzyć. Zapomnieliśmy, że wokół nas jest szara i ponura peerelowska rzeczywistość, że milicja ściga długowłosych, takich jak ja. Przez kilka godzin w moim azylu było kolorowo i różnorodnie. Trwaliśmy tak bez lęku, przekonani do własnych racji i w stu procentach wolni.

16.06.1978, piątek

Obudziłem się około ósmej wieczorem z potężnym bólem głowy i mdłościami. Chciało mi się bardzo pić, ale zupełnie nie czułem głodu. Napilem się tylko wody i znów położyłem się spać.

17.06.1978, sobota

Wstałem ok. 6.00 rano i pierwsze, czego zapragnąłem, to aby znowu było tak odlotowo jak wczoraj. Poszedłem więc na spotkanie z kolesiem, który ma ksywę Faja. Oczywiście idąc do niego zakupiłem litr kleju. Wybraliśmy się tym razem do mojej piwnicy, gdyż po imprezce z przedwczoraj miałem małą awanturę w domu. Okazało się, że mama próbowała się dostać do pokoiku kilkanaście razy. Ponoć nieźle waliła w drzwi, jednak nikt jej nie słyszał. Wiedziałem, że w piwnicy nikt nam nie będzie próbował przeszkadzać. Panował tam mroczny klimat, gdyż jedynym oświetleniem była świeczka, a okienko jest bardzo małe i prawie nie przepuszcza światła. Jest tam skład węgla, ziemniaków, drewna na rozpałkę, ale przede wszystkim – święty spokój. Siedzieliśmy sobie wygodnie na skrzynkach od warzyw i oddawaliśmy się naszym klejowym wizjom. Tym razem były one bardzo mroczne i niepokojące. Wkręciliśmy się w film klimatem przypominający powieści Edgara Allana Poe. Skończyliśmy bardzo wcześnie, bo około pierwszej po południu. Poszliśmy do mnie do mieszkania i wtedy zaczęła się u mnie ostra jazda żołądkowa. Rzygałem przez ładnych parę godzin, a że nie miałem już czym wymiotować, to leciała ze mnie żółć. Faja przeraził się i ulotnił, zostawiając mnie samego. Gdy mama wróciła z pracy i zobaczyła, co się ze mną dzieje, poszła zadzwonić po pogotowie. Wyglądałem ponoć jak trup, byłem bardzo blady, miałem podkrążone i wytrzeszczone oczy. Karetka przyjechała po około pół godziny, a lekarz zorientował się od razu, co mi jest. Śmierdziało mi z ust butaprenem, a ręce i spódnie miałem całe poklejone. Chciano mnie zabrać do szpitala na kroplówkę. Jednak nie bardzo było mi to na rękę i przekonałem mamę, aby nie zgodziła się na to. Lekarz dał mi mały wykład co do buzowania kleju. Powiedział, że dalej tak postępując odmóżdżę się, bo substancje chemiczne zawarte w butaprenie powodują bezpowrotny zanik szarych komórek mózgu i powiązań między- neuronowych. Stwierdził, że najdalej po pół roku takiego rzachania się klejem stanę się rośliną. Przeraziło mnie to okropnie! Solennie obiecałem sobie, że więcej nie tknę butaprenu. Po odjeździe karetki położyłem się spać, najpierw jednak wypilem jakieś dwa litry wody z cukrem, bo lekarz zalecił, żeby pić bardzo dużo słodkiej wody, aby odtruć organizm.

18.06.1978, niedziela

Obudziłem się z przeraźliwym bólem głowy. Postanowiłem, że dzisiaj nie będę kirał. Zjadłem coś naprędcę, uzupełniłem płyny dużą ilością herbaty i wybrałem się na miasto.

Szwendałem się trochę bez celu po Starówce i wpadłem na genialny pomysł, by odwiedzić empik.

Wszedłem, zamówiłem kawę i siedziałem chyba z godzinę, rozmyślając nad tym, co czytałem jakiś miesiąc temu. Była to książka Stanisława Ignacego Witkiewicza *Narkotyki i Niemyte Dusze*. Stopniowo coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że chcę tak jak Witkacy wypróbować na sobie, jak działają wszystkie narkotyki. Nagle weszła kolorowa grupa długowłosych kolesi i dziewczyn. Chłopacy mieli kolczyki w uszach, dziewczyny – kolorowe opaski na czołach. Były ubrane w długie, powłóczyste suknie, przypominające suknie Cyganek. Każda z nich nosiła koraliki na kostce u nogi, takie same koraliki mieli również chłopacy, tyle że na nadgarstkach. Oprócz tego dziewczyny nosiły korale na szyi, a chłopacy różnego typu wisioriki i świecidełka. Żadna z dziewcząt nie miała stanika, co nie umknęło mojej uwadze. Wszyscy mieli za to zawieszane na szyjach pacyfki. Jedni metalowe, inni skórzane, jeszcze inni drewniane.

Weszli do empiku pewni siebie, roześmiani i bardzo, bardzo wyluzowani. W ich zachowaniu było coś nonszalanckiego. Ci ludzie niezwykle mi zaimponowali stylem bycia.

Znałem ich co prawda z widzenia, lecz byli o kilka lat starsi i nigdy nie miałem okazji poznać ich bliżej. Zdziwiłem się więc, kiedy podeszli do mojego stolika i bezceremonialnie się przysiedli. Ja również noszę długie włosy i ubieram się po hipisowsku, ale nie uważam się za prawdziwego hipa, choć bardzo bym tego chciał. Wyczułem okazję, aby wkręcić się w ich towarzystwo. Podali swoje ksywki, witając się, powiedziałem, że jestem Kaczor. Z początku nieśmiało wtrącałem pojedyncze zdania, lecz z czasem poczynalem sobie coraz odważniej i stałem się uczestnikiem dyskusji. Rozmowa dotyczyła hipisowskich tematów: wolności, wolnej miłości, ćpania i muzyki.

W pewnym momencie jedna z dziewczyn, imieniem Jolka, zapytała mnie, a właściwie stwierdziła:

– Będziesz oczywiście, Kaczorku, w tym roku na zlocie w Częstochowie?

– No jasne! – odparłem, chociaż zupełnie nie wiedziałem, o co pyta.

– To fajnie. My jedziemy tam całą ekipą. Może byś pojechał z nami? – zaproponowała.

– Luzik! – odpowiedziałem i od razu pomyślałem, że dzięki temu stanę się od razu „prawdziwym hipisem”.

Posiedzieliśmy jeszcze jakieś dwie godziny przy tej jednej kawie, zanim się rozeszliśmy. Proponowali, bym jeszcze im potowarzyszył, jednak nie zdecydowałem się, gdyż uważam, że jako chłopak o wiele młodszy od nich, nie jestem jeszcze na to gotów. Poszli zatem w swoją stronę, a ja, wychodząc z empiku, unosiłem się pół metra nad ziemią. Byłem w euforii i to bez żadnych narkotyków czy alkoholu. To było wspaniałe uczucie. W drodze do domu spotkałem kolesia, z którym rzachałem butapren i zapytałem go o zlot hipisów w Częstochowie:

– A skąd ja mam to, kurwa, wiedzieć??? – padła odpowiedź.

Pozostałem z tym pytaniem, nie znając odpowiedzi...

Po powrocie do domu zacząłem przeglądać całą moją biblioteczkę, liczącą około 500 tytułów. Przewertowałem też tony gazet w poszukiwaniu informacji na temat tego zlotu. Nigdzie niczego nie znalazłem, za to w różnych gazetach natknąłem się na masę artykułów poświęconych hipisom w Polsce. Muszę powiedzieć, że teksty te były bardzo nieprzychylnie. To jeszcze bardziej utwierdziło mnie w przekonaniu o wyborze właściwej drogi. Będę hipisem! – obiecałem sobie uroczyście.

5.07.1978, środa

Przez ostatnie trzy tygodnie miałem bardzo pracowity okres. Zapisałem się do wszystkich bibliotek w Kaliszu, do których jeszcze nie należałem, aby zasięgnąć wiedzy na temat ruchu hipisowskiego na świecie. Przeczytałem masę artykułów w czasopismach oraz przejrzałem dziesiątki książek, o których sądziłem, że mogą w nich znaleźć cokolwiek na ten temat.

Byłem rozczarowany tym, że znalazłem tam naprawdę niewiele informacji. Pani z empikowskiej czytelnicy powiedziała mi, że znacznie więcej znajdę w wydawnictwach anglojęzycznych. Nie znam jednak języka, postanowiłem więc nauczyć się go samemu. Na szczęście od jednego z moich kolegów z klasy, Maćka, dowiedziałem się, kiedy jest zlot w Częstochowie. Maciek wie to od swojego starszego o pięć lat brata hipisa.

Oczywiście dowiedziawszy się o tym, że jego brat to hipis, poprosiłem, aby mnie z nim zapoznał. Maciek przystał na to, ale pod warunkiem, że kupię mu trzy paczki papierosów „Sport”.

Cóż zrobić? – pomyślałem i zgodziłem się:

– Okej, nie ma sprawy.

– Jest jeszcze jeden warunek – dodał Maciek. – Musisz wypalić te szlugi razem ze mną. Wtedy uznam cię za „swojaka” i poznam cię z moim bratem.

– Nie ma problemu – odparłem.

Rozmowa z jego bratem, który ma ksywkę Telesfor, była bardzo inspirująca i pouczająca. Dlatego nie żałowałem poniesionych kosztów. Okazało się, że Telesfor jest w ruchu od dwóch lat i był już na kilku zlotach w Polsce. Wyłuszczył mi pokrótce filozofię hipisów, dodając przy tym, że większość polskich hipisów to ćpuny i że bym uważał i się nie wjebał w grzanie. W szczególności ostrzegwał mnie, abym uważał na mleczko makowe oraz wywar z suszonych makowin zwany zupą, tudzież makiwarą. Dał mi też namiar, dokąd mam uderzyć w Kaliszu, aby spotkać prawdziwych hipisów i zarazem ćpunów. Dowiedziałem się, że spotykają się nie tylko w empiku, ale przede wszystkim w Wojewódzkim Domu Kultury na ulicy Łaziennej.

25.07.1978 wtorek

Dzisiaj miała miejsce sytuacja, która zdecydowała o tym, że zmieniłem nieco swoje plany na najbliższą przyszłość. Stwierdziłem, że najpierw należy skończyć szkołę podstawową i nauczyć się karate, a dopiero potem ruszyć w świat i hipisować.

Około 14.00 poszedłem, tak jak robię to od kilku tygodni, do Domu Kultury, aby spotkać się z paczką hipisów, z którą się już dość dobrze

poznałem. Posiedzieliśmy tam jak zwykle, słuchając muzyki i dyskutując zawzięcie o najważniejszych sprawach tego świata; o ogólnoświatowym pokoju, wolnej, niczym nieograniczonej miłości między ludźmi, o wojnach, o głodzie etc. Spędziliśmy w ten sposób jakieś cztery godziny i w pewnym momencie zapragnęliśmy połączyć po parku, który jest tuż obok. Wyszliśmy całą piętnastoosobową grupą i po kilkuset metrach spaceru wyskoczyło do nas trzech agresywnych, krótko ostrzyżonych kolesi, krzyczących, że „rozjebią nam te długowłose łby, obetną kudły, a nasze dziewczyny wyruchają bez mydła w dupę”.

Było ich tylko trzech, a nas piętnaścioro, Dlatego też myślałem, że damy sobie z nimi radę bez problemu. Jakież było moje zdziwienie, gdy okazało się, że większość naszej grupy zaczęła uciekać. Na polu bitwy pozostało tylko dwóch kolegów i ja jako trzeci. Ja, który od dziecka wychowywałem się przy ul. Jabłkowskiego, jednej z najmniejbezpiecznych ulic Kalisza, na tzw. trójkącie cudów i nigdy niczego ani nikogo się nie bałem, natychmiast postanowiłem się z kolesiami zmierzyć na pięści i kopniaki. Doszło więc do małej bijatyki, w której siły były prawie wyrównane. Jednak po wymianie kilku ciosów jeden z tamtych wyciągnął nóż i zaczął nim wymachiwać.

Dźgnął pomiędzy żebra jednego z moich kompanów i w momencie, gdy zobaczyliśmy krew, napastnicy uciekli. Ja, nie mogąc wyjść ze zdumienia dlaczego większość mojej grupy wzięła nogi za pas, w jednej chwili postanowiłem sobie, że nauczę się karate. Wtedy będę mógł stawiać czoła wielu przeciwnikom naraz. Po ucieczce gitowców (dowiedziałem się potem, że tak właśnie się ich określa, bo są to kolesie związani z subkulturą więzienną), wzięliśmy pod pachy naszego rannego kolegę, odtransportowaliśmy go na przystanek autobusowy i pojechaliśmy z nim na pogotowie.

Rana była powierzchowna i po jej opatrzeniu wyszliśmy wszyscy razem. Oczywiście udaliśmy się na piwko. Na jednym piwku się nie skończyło, potem przyszli jacyś inni hipisi, byli to ludzie z Wrocławia. Przynieśli ze sobą różnego rodzaju leki, które całkiem nieźle działają, tym bardziej po alkoholu. Pamiętam, że łyknąłem około pięciu różnych tabletek. Świat mi zawirował, zrobiło się zajebiście ciepło, przyjemnie, poczułem się odprężony, wszelkie troski poszły w niepamięć. Poczułem, że kocham tych wszystkich ludzi, którzy byli wtedy razem ze mną.